Lwów, 23. Listopada. №140. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO-ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XV.

(Ciąg dalszy.)

Siostra jenerała prowadziła dziś życie takie, jakie poprzysięgła prowadzić zaraz w dni kilka po jego śmierci. Pierwszem zajęciem po obudzeniu się ze snu były u niej zawsze pacierze, o ósmej rano jechała regularnie, nie wyjąwszy nawet dni niepogodnych, na mszę św. do jezuickiego kościoła, po tej mszy kazała się zaraz zawozić do kościoła św. Mikołaja i tam słuchała mszy drugiej, resztę zaś godzin aż do samego południa trawiła albo na czytaniu xiąg świętych, albo na statecznej rozmowie z xiężmi zakonnymi, z kanonikami lub innymi poważnymi prałatami, którzy radzi ją nawiedzali. Po obiedzie jechała zwykle na nieszpór do którego z bliższych kościołów, po nieszporze przyjmowała wizyty światowe u siebie, które bywały częstokroć bardzo liczne i prawie zawsze się przedłużały aż do późniejszych godzin wieczornych, lecz przed godziną dziesiątą zawsze już była sama w swojej sypialni i kończyła dzień równie pilną i gorliwą modlitwą, jak go zwyczajnie zaczynała. Pani marszałkowa prowadziła z resztą życie bardzo poważne i skromne. Całe jej pomieszkanie obejmowało tylko sześć niewielkich pokojów, sług trzymała tylko tyle, ile niezbędna wymagała potrzeba i jedną starą dewotkę do konwersacyi, jeździła zawsze jedną od lat dziesięciu karetą i temiż samemi gniademi anglezami, sama rzadko już gdzie bywała, u siebie niewydawała nigdy żadnych herbat ni balów, a na jej postnych obiadach, na które zapraszała co środę, bywali tylko sami xięża i inni starzy panowie lub panie, które wszakże zawsze musiały być znane z powagi i pobożności, bo innych nie zapraszała. Oprócz tego mówiono jeszcze o niej z pewnością, że znaczną część swojej niewielkiej fortuny zapisała na kościół, że bardzo znacznie się przyczyniała do wszystkich składek na ubogich, że do kilku kościołów posprawiała piękne ornaty i kielichy, że mnóstwo wdów i sierót znajdowało u niej protekcyę i zapomogę, że swojem własnem staraniem doprowadziła dwie żydówek do przyjęcia chrześcijańskiej religii, że bardzo gorliwie rozszerzała religijne xiązki i pisma a wszystkie starzejące się damy otaczały ją wielkim szacunkiem i roznosiły jej sławę pobożną z szczególniejszą gorliwością po mieście.

Tak się prowadząc, rzecz oczewista, że pani marszałkowa pozyskała sobie i utrwaliła niejako reputacyę pobożnej i świątobliwej matrony, której życie poświęcone jest Bogu, pomocy bliźnich i rozszerzaniu zasad chrześcijańsko-katolickich po mieście. Ale tę piękną reputacyę dawali jej tylko ci, którzy wierzyli, że grzechy i plugactwa pięćdziesięcio-letniego życia dadzą się zmyć kilkoma codziennemi pacierzami na starość, którzy ani mogą się podnieść swoim zakutym duchem do pojęcia idei czystego chrześcijanizmu, ani umiejąc prostą i szczerą wiarę obudzić w swem sercu zbrukanem, wzięli formuły i obrządki religijne za samą religiję; którzy zresztą, żyjąc w kraju przesiąkłym od wieków chrześcijańsko-katolicką religiją i pobożniejszym nad wszystkie inne, ubrdali sobie, że mieszkają pomiędzy samymi heretykami i kacerzami i zamiast się oddać jakiemuś pracowitemu i odpowiedniemu ich miernym zdolnościom zawodowi, przyjęli nieoddawaną im przez nikogo wysoką missyę apostołowania prawdziwej religii i nawracania niewiernych. Taką reputacyę miała nakoniec marszałkowa u tych, którzy dobrodusznie wierzą we wszystko, cokolwiek im kto powie i nie śmią się niczemu sprzeciwić, u wszystkich kobiet, spędzających ostatnie chwile swojej niepobożnej młodości i poczuwających się w potrzebie pokuty, u wszystkich świętoszków, hipokrytów, dewotek i całej czeredy tych moralnych żebraków, którzy niemogąc się ani na chwilę ostać na własnych nogach, ciągle potrzebują cudzego światła i cudzej pomocy.

Ale owa znaczna większość mieszkańców miasta, która, stojąc na własnych nogach i myśląc zawsze swą własną głową, stanowi opinię publiczną, całkiem innego była zdania o tej matronie. Pani marszałkowa żyła dawniej we Lwowie i dała się dostatecznie poznać patrzącemu na jej prowadzenie się światu, a jaką sobie natenczas sporządziła opinię, ta sama o niej, pomimo jej zmiany tak głośnej, utrzymywała się jeszcze dotychczas w większości. Nie należy się temu dziwić, bo to jest rzecz naturalna. Ogół społeczeństwa składa się z ludzi i ma zawsze czysto ludzkie przymioty. Nie był on nigdy pochlebcą ni hipokrytą, zawsze to mówił co myślał, i mając umysł za nadto prosty, ażeby się umiał podać intrygom, nie udawał nigdy przymiotów anielskich. Kiedy kto raz stanowczo

przeciw niemu zawinił i w swoich winach wytrwał tak długo, jak długo mu ku temu sił i namiętności starczyło, tego on potępił stanowczo i znienawidził na zawsze, — przebaczenie takie, jako rzecz wcale nadludzką zostawiając samemu Bogu. Świętości za życia nie przyznaje on nigdy nikomu, nawet tym, których żywot był nieskalany od kolebki do grobu: a cóż dopiero tym, których cała młodość była nierozerwanym łańcuchem win i występków a których starość dopiero przywlokła się z przybraną pokorą i pacierzami pod progi omijanego przez całe życie kościoła, — bo on jest także człowiekiem i wie, jak słabą jest dusza ludzka, jak znikomą jest jego najsilniejsza wola i jak trudna nawet z wad najdrobniejszych poprawa. Nowych apostołów i nauczycielów przyjmuje on także już dziś nie tak łatwo: wierzącemi oczyma patrzy on w kościół święty i jego namiestników postanowionych od Boga, kornie pochyla głowę i serce przed tem wszystkiem, co stamtąd pochodzi i wierzy tym wszystkim, którzy stamtąd wzięli swe posłannictwo i namaszczenie, — ale pamięta zawsze o tem, że takiego namaszczenia nie otrzymały jeszcze nigdy baby i dziady kościelne. Tym więc, którzy sobie takie posłannictwo przywłaszczyli samowolnie, albo je na głosach swoich zakupionych prozelitów i współtowarzyszów oparli, nietylko on nigdy nie wierzy, ale odrzuca ich z nieukrytą podejrzliwością a często nawet ze wzgardą.

Tak się dziać zwykło we wszystkich społeczeństwach, które jeszcze nie są przesycone zuchwałemi wynalazkami napuszonego rozumu, ani przetrawione namiętnemi ogniami religijnego sektarstwa; — tak się też stało i z pobożną na pozór marszałkową we Lwowie. I było tak, że ogół społeczeństwa nietylko nie potwierdził jej pięknej reputacyi, która się tylko po pewnych kółkach towarzystwa kręciła, ale nawet jej imię obrzucił głośną pogardą i potępieniem. Takie wyroki ogółu częstokroć gruntują się tylko na tem, na czem u pojedynczych ludzi gruntować się zwykła sympatya lub antypatya i nieraz nie można się wcale dowiedzieć, dla czego nie jeden wielki człowiek został u tego ogółu wielkim a dla czego drugi jest jeszcze zawsze tak małym: tutaj atoli nie stało się to bez powodu; — opinija publiczna bowiem nietylko pamiętała do dziś dnia wszystkie szczegóły dawniejszego życia ciotki Adeli, nietylko nie mogła jej zapomnieć haniebnej zdrady Kamila i śmierci jej brata, ale jeszcze prócz tego znajdowało się nie mało osób w mieście, które jak gdyby z regestru recytowały z dzisiejszego jej życia, postępowania i czyny takie, które wprawdzie wartością swoją wyrównywały tylko jej postępkom dawniejszym, ale za to obrzydliwością, ile że płaszczykiem pobożności okryte, jeszcze o wiele je przerosiły.

Jakie to były właściwie te postępki i o ile relacye o nich zgadzały się z prawdą istotną, my nie umiemy powiedzieć; tego jednak nam niepodobna zataić, co było prawdą niezaprzeczoną, że dom marszałkowej był najgłówniejszym na całe miasto rezerwoarem i kuźnią tych wszystkich plotek i komerażów, o których wspomnieliśmy na początku rozdziału. Wszystkie tedy tak najważniejsze jak i najdrobniejsze wypadki, czy-to nowiny z za granicy, czy skandale z miasta, czy poczciwe uczynki z prowincyi, wszystko to tam się zbiegało, tam się warzyło, przerabiało, wywracało, uzupełniało, rosło i w milionowych postaciach wybiegało na powrót na miasto. Nic też nie zaszło takiego, o czem-by wieść natychmiast tam niedobiegła: a czy kto odebrał list jakiś ciekawy, czy się kto z kim pogniewał, czy kogo kto wyzwał, czy mąż żonę na schadzce tajemnej pochwycił, czy żona wyśledziła cel tajemnych wędrówek męża, czy ktoś się ich córce oświadczył, jak się powiodło jednemu panu w konkury o posag, drugiemu o miłość, trzeciemu o urząd lub łaskę pańską, kto się zgrał, kto się upił, kto się modlił, kto płakał, kto się za kim oglądał w kościele, — o tem wszystkiem najpewniej i najprędzej można się było dowiedzieć u marszałkowej. Od tego bowiem trzymała ona oprócz swojej jednej jeszcze sto cudzych dewotek, od tego miała pięćdziesięciu podstarzałych i na wszystkiem zbankrutowanych kawalerów pod swoją pretekcyą, od tego ustawiczne związki ze wszystkiemi ciekawszemi osobami z każdego towarzystwa, od tego sługi sprytne i mające także swoje związki z innemi sługami, od tego miała nakoniec głowę nie dla formy na karku i sześćdziesięcio-letnie doświadczenie nabyte we wszystkich salonach Europy. Wszystkie te tedy żywioły zbiegały się kolejno w jej salonie od nieszporów aż do godziny dziesiątej: każdy kto przyszedł, zaraz wypakowywał swój bagaż, marszałkowa z szczególniejszem zajęciem go przyjmowała i oddawała natychmiast pod dyskusyę całego zgromadzenia. W tej dyskusyi plotka oczewiście przerobiła się i wyrosła do niesłychanych rozmiarów a z tak przerobioną wylatywało natychmiast kilku członków zgromadzenia dla rozsiania jej po mieście. Po pierwszej plotce następywała druga, dziesiąta i setna, i z każdą nakoniec stało się to samo co z pierwszą; — i tak przez cały wieczór wrzało zawsze w tym salonie jak w garnku, syczały, pytlowały języki, fundowano trony, naznaczano państwom granice, rozdawano urzędy, biskupstwa, kanonikaty, beneficya, rzucano kalumnije, żeniono młodych i starych, uwodzono żony, bałamucono panny, uzdrawiano chorych, zabijano żywych, wskrzeszano umarłych, tych piętnowano herezyą, owych wskazywano na stos za kacerstwo, — tylko nieuroniono nigdy łzy jednej nad ogólną niedolą i nie zawtórzono nigdy choćby jednem westchnieniem jakimkolwiek lepszym na przyszłość nadziejom.

Tym celem zgromadzone i taką zabawą zajęte znajdowało się dnia jednego dość liczne towarzystwo w mar-

szałkowej salonie. Działo się to w roku czterdziestym siódmym, pod sam koniec karnawału, w miesiącu lutym lub marcu. Dzień był wilgotny, zimowy, śnieg poczerniał na ulicach i trotoarach, latarnie migotały słabemi światełkami po rogach kamienic, przechodzących snuło się mnóstwo, za niemi roznosił się po powietrzu zapach dymu z sygarów, między niemi dawały się słyszeć co chwila przeraźliwe głosy chłopców sprzedających kasztany lub inne podobne łakocie a koło nich przejeżdżały gęsto, wyciągniętym kłusem, oświecone latarniami powozy, dążące spiesznie do teatru na jakiś koncert sławny, któren miał się odbyć przed ostatnią tegoroczną redutą.

Otóż pod taką porę siedziało u marszałkowej dość licznie zebrane towarzystwo. Rozmowa była ożywiona nad zwyczaj: bo była tam w tej chwili pani Barabaszowa, która wyprawiwszy rozgłośną scenę z swym mężem kulawym, błagała za to przez całą zimę litości i nie mogąc jej wyżebrać u ludzi, poczęła jej żebrać u Boga. Była tam pani Marcinowa, która dopiero-co przyjechala z Warszawy i miała mnóstwo ciekawych rzeczy do opowiedzenia o towarzystwie tamtejszem, — była hrabina Chili, która, mieszkając we Lwowie, aspirowała do takiej pozycyi w świecie, jak marszałkowa, i ażeby się otoczyć jakimś urokiem, pojechała była do Rzymu, skąd właśnie teraz wracała. — Znajdował się także w salonie pan Rufin, który był świadkiem naocznym odbytego dziś pojedynku, — był pan Saturnin, który właśnie dzisiaj pogodził panią Erazminę z zagniewanym jej mężem, byłyjeszcze prócz tego trzy stare panny, dwie rozwódki, trzy wdowy i siedm deklarowanych dewotek. Było więc z niemi co robić. Marszałkowa też, siedząca jak zawsze na zielonej kanapie, aż się zasapała przy takiej pracy, wypytując to tych to owych, rozstrzygając wątpliwości, objaśniając rzeczy niepewne, rzucając podejrzenia, wnosząc projekta, oświadczając swoje życzenia, które zawsze były wypełniane do joty i opowiadając różne dawne historye, które miały związek z będącemi w mowie wiadomościami.

A kiedy tak wszyscy pomagali swej gospodyni, robota szła szybko i już prawie wszystkie wiadomości były okrzesane z grubszego, już nawet niektóre z nich, wyniesione przez członków kongregacyi, obiegały ulice i domy, — otworzyły się drzwi i wszedł pan Cefizes. (C. d. n.)

Z POEMATU: ŚPIEWAK Z OAZY.

Kassyda.

(Ciąg dalszy).

Wieczór był cichy, ja nazajutrz rano,
Miałem iść w pochód z kupców karawaną,
Tam ku zatoce czerwonego morza,
Gdzie się wieczorem kąpie nasza zorza.

O nocy straszna! ileż to męczarni,
Piekielnych przeczuć targało mi łono,
Jak wąż się wiłem na posłaniu z darni;...
A potem z cicha modlitwę stłumioną,
Posłałem w niebo na łono proroka,
Jednak noc całą niezmrużyłem oka.

Ze świtem zorzy nasza karawana,
Wesołą pieśnią uwielbiała pana,
Jam nie podzielał modłów ni wesela,
Ale poszedłem żegnać przyjaciela.

Jak dziecię z płaczem padłem mu na szyję,
I zaklinałem go po tysiąc razy:
„Jeśli iskierka w tobie dla mnie żyje
„To na koranu przysięgnij wyrazy,
„Na Eden święty! na imię proroka,
„Że jej strzedz będziesz, jako twego oka!"

On mi poprzysiągł! jam mu dłonie ścisnął,
Potem wschód słońca jaskrawo zabłysnął,
I my ruszyli na zachód daleko,
Walczyć z wiatrami i śmiertelną spieką.

Chwilo powrotu! niewiem czy tak wita
Dusza Muslema edenowe progi,
Jak cię witałem?!.. Tu, puszcza okryta
Mgłą porankową, i senne rozłogi...
Przy mnie... mój rumak parska niepokojem...
We mnie marzenia płyną rajskim zdrojem!......

„Ruszaj mój koniu! ty wiesz gdzie wracamy;
„Wkrótce — obaczym naszej Mekki bramy....
„Minaret święty!... cyt! tam nasze życie!
„Tam żyje ona, jak anioł w błękicie!"...

Wierny mój rumak, widać mię rozumiał,
Pędził za nami, tylko step zaszumiał;
Lecz czasem stanął, i parskał nozdrzami
Jakby tygrysa gdzieś poczuł przed nami.

Jak fala złota płynęła równina.
Z bliskiej osady słyszę głos muezina,
Co?... już na zachód uciekał świt dzienny!
Jeszcze widokrąg iskrzył się promienny!
Kiedy stanąłem w zaciszu palmowem,
Aby Alaha uczcić świętem słowem,
A potem dalej.... o! jam wielbił ciebie!
Ale myślami byłem w innem niebie.

A w tem w oddali zagrzmiały kopyta;
Wybiegam, patrzę: Beduin mi znany,
Przeleciał blisko, mię ani powita.
„Stój bracie!" wołam, „gdzie pędzisz zdyszany"?
On się obrócił, wstrząsł się gdy mię zoczył,
Wyraz przestrachu na twarz mu się wtłoczył,
I rzekł: „Dla ciebie mam wieść niepocieszną
„O bracie młody, wracaj, wracaj spieszno
„Tam ci syn szejcha wydarł twą ptaszynę!"
I pognał cwałem w piaskową równinę...

«Syn szejcha ?» wołam, on pomyka dalej.
Głos mój umiera na piaskowej fali...
Dobywam strzały, gdy mu konia zranię,
Niepójdzie rumak, pośród biegu stanie....
Strzała daremnie pobiegła za wieścią:—
A ja zostałem sam z moją boleścią!

Gromem upadły na mnie jego słowa,
Wspominać straszno te wszystkie katusze;
Straszna, ponura ciemnica grobowa,
Obwiała w okrąg mą zbolałą duszę;
Czułem że węglem stawała się głowa,
«O ja ją wydrzeć, albo pomścić muszę...
«Selimie czartom ciebie dziś poświęcę.»
Wołałem wściekły w tej piekielnej męce.

Tyś zadrżał starcze, o pieśń moja dzika,
Bijące serca jak mrozem przenika,
Lecz słuchaj dalej. Gnałem jak szalony...
Nie wiem czy w duszy mojej było ciemniej,
Czyli na ziemi śród nocnej zasłony?
Chciałem odetchnąć, wznoszę pierś daremnie.
A ile dzisiaj mogę wspomnieć sobie,
W pustyni było duszno jakby w grobie.

(D. c. n.)

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

I. J. Kraszewskiego. — 4 Tomy.*)

Treścią powieści jest życie poety, jak w Poecie i Świat i Sfinxie; w gymnazyum Staś Szarski, chłopak z gorącą duszą, pierwszy raz, z bijącem sercem, w pośród niechętnych, złośliwych i zawistnych mu kolegów, czyta pierwszą swoją poezyę do Wiosny; z pierwszą próbą znajomi się z cierpkiemi owocami, jakie dusza wyższa i talent odbierają od ludzi i świata. Szyderstwo, złość, zawiść, pogarda, nienawiść, prześladują biednego poetę na szkolnej ławie jeszcze. Ale im dalej w świat, tem więcej cierpień, tem więcej kolców, tem więcej cierni. Surowy ojciec Szarskiego wcześnie naznacza synowi zawód medyka, dający chleb i pewną niezależną pozycyę w życiu; odkryte przed ojcem ćwiczenie rymowe do nieznajomej kochanki, o mało nie sprowadziło na nieszczęśliwego poetę prawdziwego a bolesnego ćwiczenia. Nim Staś udaje się do Wilna dla rozpoczęcia uniwersyteckiego kursu, na wakacyach przepędza tydzień z Adelką, daleką swoją krewną, córką Adama Szarskiego, chorującego na arystokracyę; młodzi ludzie, dzieci prawie, kochają się i zaręczają się w ogrodzie, przysięgają sobie pod lipami wieczną miłość, jak w Poeta i Świat Gustaw i Marynia przysięgli ją sobie pod bzami. Pod Wilnem, w karczemce na piaskach, Szarski spotyka się z kolegami szkolnymi, dążącymi jak i on do litewskiej wszechnicy; przyłącza się do grona starych kolegów obcy przybysz, Bazylewicz, wędrujący do niej z Podola o kiju i w podartych butach. O ile Szarski był skromny, cichy, nieśmiały, potulny, o tyle przybysz był zarozumiały, pewny siebie, pewny przyszłości i niezwiędłych laurów. Bazylewicz bez ceremonii przyłącza się do zaimprowizowanego śniadania z podróżnych torebek, zmiata wszystko z przed nosa i wprasza się do Szarskiego na wózek. W Wilnie poeta nasz schnie nad nienawistną mu medycyną, prosi ojca, aby mu pozwolił zmienić fakultet, zmienia go mimo zakazu na literaturę i w odpowiedzi na tę wiadomość odbiera gniew ojcowski i wyrzeczenie się go, jako syna. Nowe cierpienia, nowe boleści i ciernie, dla poezyi, bez której dusza młoda żyć nie może; poezya męczy słaby ten charakter Szarskiego, podczas kiedy praktyczny Bazylewicz trzyma prym w audytoryum, zabrał znajomości z professorami i zrobił sobie sławę literacką w swojem kółku. Jakie to naturalne! któż z nas nie znał w uniwersytecie Bazylewiczów, ludzi genialnych, mających sławę i admiratorów we własnem kółku, w którem byli prawdziwymi despotami? A tymczasem Staś, marząc o poezyi nie miał kawałka chleba; jakie zdarzały się mu kondycye, te sprzątnął mu z przed nosa Bazylewicz, wszędzie zachodzący mu w drogę. Nie mając z czego żyć, a nie chcąc być ciężarem kolegom, Szarski przyjmuje kondycyę u żyda, ucząc za kilkanaście złotych miesięcznie córkę jego Sarę francuskiego języka. Sara prześliczna Izraelitka, o klasycznych azyatyckich rysach, chciwa była nauki, chwytała każde słówko Stanisława, kiedy ten schodził do niej ze swego ciemnego poddasza; w czarnych oczach Sary połyskiwała ognista, wielka dusza, ale nie wierząc sobie, czując się małą, nędzną żydóweczką, nie śmiała słówka nawet wymówić do swego mistrza—oczy jej tylko mówiły wyraźnie, że w tem pięknem ciele kryje się namiętna dusza. Szarski drukuje pierwsze próby poetyckie, spotyka niechętnych, ma się rozumieć w pierwszym rzędzie stoi bezdarny ale rzutki Bazylewicz i ex-professor Iglicki, krytyk i wielki mistrz szkoły klasycznej, twórca ód, epopei, bajek, satyr i t. d. To wyrabianie się poety i ścieranie się talentu ze światem jest wystawione doskonale — zawady podnoszą talent. Adelka przyjeżdża do miasta, nie poznaje dawnego kochanka, któremu przysięgła miłość, formuje się na panią, na obraz i podobieństwo matki, wychodzi za księcia. Przebolał biedny poeta i tem gorliwiej pracował i dawał lekcye pięknej Sarze. Zwracając uwagę na biedną swoją izdebkę, Staś zaczął spostrzegać, że ktoś się opiekuje jego ubóstwem; nosił sam sobie wodę, zaczął spostrzegać, że co wieczora dzbanek jego pełny; pomiędzy książkami znajdywał drobne pieniądze, tu i owdzie rozrzucone owoce, — widoczna było, że ktoś czuwał nad nim.— Chciał się dowiedzieć ktoby to był taki: zasiadł się o zmroku i do izdebki jego, na trzecie piętro, zobaczył przemykającą się po schodach, delikatną, wypieszczoną Sarę ze dzbankiem wody: ona to opiekowała się biednym, opuszczonym sierotą.

Staś poczuł w sercu żywą wdzięczność dla biednej

*) Gazeta Warszawska z roku 1854.

dziewczyny; nie przeczuwał co z tego uczucia nadal wyrość może, ale przeczuwał to stary Abraham, dziad Sary. Figura ta dobrze odrysowana; zajadły ten nieprzyjaciel goimów z nienawiścią poglądał na Stasia i jego nauki; kiedy Staś mówił przy lekcyi, a Sara niema patrzyła w niego swojemi czarnemi oczami, nieraz we drzwiach pokazywała się zgarbiona figura starego, siwobrodego Abrahama, w którego oczach złość pałała a usta wymawiały przekleństwa. Raz w nocy, kiedy Staś pracował przy stoliku — otwarły się drzwi poddasza i w nich jak duch ukazała się postać starego talmudzisty, usiłującego wystraszyć ze swojej rodziny młodego chrześciańskiego chłopca. Staś, postrzegłszy pieczołowitość Sary względem siebie, chciał zrazu uciec z tego domu, ale potem żal mu było zasmucać to biedne dziewczę—i pozostał pod strychem. Wkrótce ciasna izdebka zaczęła się mu wydawać inszą niż dotąd, i kiedy przyjaciel jego zapragnął wyrwać go gwałtem z tego kąta i wyprowadzić do chrześciańskiego domu, Stasiowi żal było serdecznie tej celki biednej, w której niewidoma ręka objawiała jakieś dobre uczucie dla ubogiego, opuszczonego sieroty. Z boleścią opuścił Staś swoje mieszkanie u żydów i przeniosł się na nową kondycyę, ale co dnia biegał na drugą stronę miasta, na ulicę Niemiecką do kupca Białostockiego, dla dawania lekcyj córce jego Sarze. W pierwszych dniach mimowolnie mylał się Stanisław i nieraz z lekcyi zamiast iść do nowego mieszkania, zdążał po staremu do żydów, pod strych, na trzecie piętro. Zaglądnąwszy do swojej starej kwatery, Staś zastał tu wszystko na swojem dawnem miejscu, tak jak był opuścił swój kącik; dzban stał w kącie, tapczan, stolik, a na nim poukładane książki i rozłożone jego własne poezye — widocznem było, że jego pokoik służył dziś komuś za miejsce zajęć i nauki. Staś odgadł Sarę i serce mu zabiło silniej. — W przedstawieniu Sary, Kraszewski — jak wszędzie — objawił przedziwnie delikatne uczucie artystyczne: zdaleka najprzód pokazuje nam Sarę, daje nam poznaki tylko uczucia jakie się rozwija w jej sercu, a czytelnik sam dopełnia sobie imaginacyą czego tu braknie; francuski pisarz, gdyby chciał nam wyobrazić stan duszy izraelitki, otwierającej się do światła dziewczyny, wyrosłej gdzieś w jakiemś domostwie żydowskiem, dysekowałby nam tę duszę młodą; wchodząc w tysiączne jej odcienia popsułby tę postać cudną, żywą a tajemniczą, jak każda dusza, jak każde serce ludzkie.

I jak ślicznie wydaje się Sara w tym domu żydowskim z rysami wschodniemi, wykarmiona poetycznem słowem Biblii i Talmudu, w obliczu starego Abrahama i starej jego żony! — Sara nie wjdując tak często Stasia, zaczyna schnąć, a rodzice jej za radą starego, poczciwego doktora Brandta, stanowią wydać ją za mąż. Staś przebywa gorączkę, zdaje egzamena i postanawia iść do domu rodzicielskiego, zobaczyć matkę, siostry i przebłagać ojca. Brandt daje mu listy do Płachy, krewnego swego, a sąsiada ojca Stanisława. Staś wędruje piechotą przez lasy litewskie; na jednym noclegu nocuje przez ścianę z Adelką i księciem jej mężem, słyszy ich rozmowę, która wyrażała przesyt i nudę, spotyka dalej Bazylewicza, który z familią jakąś jedzie w koczu, jako guwerner dzieci, ale na drugim noclegu doświadcza biedny wędrowiec miłego uczucia, słysząc przez ścianę głos młodej dziewczynki, deklamującej z zapałem, ze łzą w oku jego własne wiersze i potem z największą pewnością starającej się przekonać matkę, że człowiek, co napisał te cudowne poezye, musiał czuć głęboko, musiał znać łzy i boleść. Staś przybywa nareszcie do maleńkiego dworku Płachy. Jest to nowy oryginalny charakter człowieka: Płacha skończył cztery klasy w szkołach, zagrzebał się na wsi, oddał się gospodarstwu, polowaniu, żyje z naturą i ludem, lubi jego pieśni, jego baje cudne, kocha łąki zielone, bory czarne, szepcące jakieś słowa tajemne; kocha wreszcie dziewczynę wiejską, która już z dzieckiem na ręku mieszka pod jego dachem w przeciwległej izbie, a wkrótce ma zostać żoną jego. Płacha, prześliczna figura, nie znamy jej w życiu, ale żywa sama przez się, prawdopodobna: serce prawe z instynktem poezyi, z przeczuciem piękna bożego, umysł jasny—wszystko rzeczy możliwe! Zarzucilibyśmy autorowi tylko to, że wkłada w usta jego wyrazy Demestrowskie, zapewne mógł to mówić, ale sposób wyrażenia myśli nadto filozoficzny, książkowy. A jakaż to piękna scena, kiedy Staś stoi pod ogrodem rodzinnym i nie śmie wstąpić w próg ojczysty, za którym żyją jego rodzice, bracia, siostry! Widzenie się z matką, siostrą, prześliczne; ustęp w kościele, kiedy widok Stasia u stóp ołtarza Boga ukrzyżowanego rozrzewnia twarde serce ojca — jest piękną, rzewną sceną, pełną prawdy i prostoty. Czujesz, że to musiałoby być, gdyby kiedyś było. Staś widzi się z Adelką, już księżną: są w ogrodzie, pod owemi lipami, gdzie przed kilką laty zaprzysięgli byli sobie miłość wieczną; przypomina to rozdział Poety i świata.

Stanisław wraca do Wilna, nowe prace, nowe zatargi księgarzami, nowa nędza; przechadzając się pod domem żydowskim na Niemieckiej ulicy, Staś pogląda na wysokie mieszkanie swoje i z westchnieniem wspomina sobie ubiegłe czasy. Razu jednego spostrzega niezwykły ruch, dowiaduje się, że Sara przyjechała z Kowna po swojem zamęściu. Następuje wykradzenie Sary — jej choroba, wyzdrowienie i kilka chwil czystej, anielskiej, bratniej miłości. Nareszcie Sara znika, wykradziona przez żydów, i dla Stasia znowu ciągną się dnie długie, nudne, ciężkie w pracy i tęsknocie. Przerywa peryod ten śmierć ojca — wyjazd na wieś, gospodarka literacka, w której wszystko idzie do góry nogami. Tu na wsi Staś poznaje Marylkę, ową podróżną, którą widział przez szpary we drzwiach zajezdnej izby, deklamującą z zapałem jego własne poezye. Dziewczyna lgnie całą duszą do biednego poety; ale on

żył tylko przeszłością, wspomnieniem; był to jakby wulkan wygasły. Wreszcie poznał życie, wiele w niem doznał zawodów, poznał człowieka i zmienność jego serca, wiedział, że wszystko to mija, rozwiewa się jak mara. Poznawszy Marylkę, myślał sobie: „Za lat kilka... kilkanaście, co się z nią stanie? ten ładny, różowy aniołeczek, tak dziś świeży sercem i duchem, w co się zmieni i obróci? W kobietę zalotną czy żonę gderliwą, w skwaśniałą starą panną, czy w skłopotaną matkę, biegającą za trzódką swych dziatek. Umysł, serce, wszystko ulegnie temu prawu organizacyi, tej nieubłaganej konieczności zestarzenia się, która na nas wszystkich cięży. Nie wiele wyjątków dochowuje świeżość lica i serca do śmierci... ogół więdnieje rychło i przytula się do ziemi. I te zjawisko mego życia, które już raz drugi przesuwa mi się przed oczyma. Bóg jeden wie jaki ją los spotka! To bojaźliwe dziewczę, które drży, płonie, miesza się i milknie, jaki ma zaród w duszy, jaką przyszłość przed sobą... kto zgadnie? Może nie jednego kochało już i przekochało, opłakało i zwróciło się ku innemu, a jutro nastąpi trzeci... a pojutrze czwarty, a dalej człowieka zastąpią inni kochankowie, aż do psów i kanarków, bo nic nie uchowa się w sercu długo! Fale czucia wyrzucają na brzeg rozbite szczątki łodzi którą niosły przed burzą!" (D. c. n.)

O przedruku Słownika Lindego.

(Ciąg dalszy).

Otóż wracając do języka, autora klassycznego raził by wyraz *watażka*, wolałby lepiej użyć wyrazu *wódz*, a charakteryzując dodałby *bandy hajdamaków*. U niego byłby ten wyraz *watażka* mniej szlachetny, nieprzyzwoity do wysokiej mowy poetycznej. A dzisiaj wyraz ten jeden jak tyle innych po prostu oszczędza nam długiego mówienia, tworzy nowe pojęcia, miejscowy jest, malowniczy. Nowa poezja wprowadza ten wyraz do skarbca mowy polskiej; ale to nie nowość bo kiedy przyjrzymy się pomnikom języka i historyi z lat dawniejszych, wyrazów takich ani tam znajdujem. Linde o nich nie wiedział, znaczenia ich nie wyjaśniał, bo Linde trzymał się tylko książek, nie rękopismów, nie miał czasu na badanie rękopismów, i tak stworzył ogrom. Inny by i tego zrobić nie potrafił. Ale gdyby Linde zaglądał do rękopismów, choć w części uprzedziłby poezye; nie był to fanatyk klassycznej formy, jak historycy owej epoki, co to im na myśl nie przyszło żeby pisać historyę z pamiętników niedrukowanych, woleli kompilować ją z książek, bo u nich pojęcia jak prowincjonalizmy były nieszlachetne, tak i zaglądanie do rękopismów żeby się z nich historyi nauczyć. Woleli kompilować, z dwóch, trzech książek złożyć jedną, jak zniżać się po czyste skarby i złoto do krainy której nieznali. Linde równie nie zaglądał do rękopismów i ułożył słownik książkowego, nie zaś całopolskiego języka. Wyrazy ukraińskie były więc, ale poezja nowa dopiero dała im obywatelstwo i w gramatyce i w słowniku.

Toż samo powiedzieć o wyrazach góralitatrzańskich: *połana, juhasy, hole* i t. d. toż o wszystkich wyrazach prowincjonalnych. Mieliśmy w nowszych czasach tylu zbieraczów pieśni gminnych, tylu badaczów starożytności naszej ziemi, mieliśmy tyle obrazków miejscowych, wielkopolskich, litewskich, mazowieckich, wszędzie lud ma swój język, wszędzie oryginalne uczucia swoje i pojęcia tłómaczy, to wyrazami, to wyrażeniami. Język polski jest jeden ale powiedzielibyśmy ma kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt może podjęzyków, podnarzeczy. Są wyrazy czystopolskie, na Rusi insze, na Mazurach insze. Kartofle nasze nazywają się gajdaki, ziemniaki, perki, jabłka ziemne i t. d. Że mówimy o tych szczególnościach rozmaitych, wspomnieć musim i o tym Szląsku, w którym przechowała się jeszcze mowa polska. Miał on oddawna swoją literaturę, ale nie znali jej polscy uczeni i dzisiaj dopiero wzrost tej literatury zwrócił na nią uwagę Maciejowskich, Wójcickich i t.d. Nie mówim tu o niemczyźnie która szerokie pozostawiła ślady na polsko-szląskim języku, ale ileż tam wyrazów polskich przechowało się, które miały kiedyś ogólniejsze w całym kraju znaczenie, albo utworzyły się li tylko w narzeczu szląskiem! Osobny by słownik szląski można pewnie ułożyć! i słownik o nieszczupłej liczbie wyrazów.

A język Pomorza pruskiego i Kaszubskiego. Ksiądz Gizewiusz wydawał w Ełku (Lyck) jakiś czas pismo peryodyczne, pod tytułem: *Przyjaciel ludu łecki;* przeglądaliśmy go w bibliotece pana Maciejowskiego, jakież tam nie znane morze dla słownictwa polskiego!

Otóż prowincyonalizmy, których obywatelstwo w języku zdobyła epoka nasza, stanowią tego języka tak wielkie bogactwo, że o połowę przynajmniej wyrazów wezbrał od tej chwili, kiedy ogłosił to obywatelstwo, a w Lindem nie ma ani śladu prowincyonalizmów. Na Rusi ku Ukrainie zbliżonej, obywatelstwo polskie używało przysłów i wyrażeń czysto-ruskich, i powszechnie dla tego w Polsce zrozumiałych przysłów, które nawet weszły z życia potocznego do książek, czyż jest ich by ślad najmniejszy w Lindem?

A teraz patrzmy ile to wyrazów natworzyli poeci i powieściopisarze, wyrazów szczęśliwych, już do języka przyjętych?

Niektórzy autorowie nasi powprowadzali moc wyrazów z języków pobratymczych, te przyswoiły się i utarły dawno. Jedni to robili z namysłem, drudzy od niechcenia i to co od niechcenia więcej odpowiadało potrzebie.

Mówićże teraz o języku naukowym? Któż nie widzi że całeśmy morze w tych kilku ostatnich dziesiątkach lat przepłynęli! Dawniej tworzono wyrazy przez modę, przez chęć niedowarzonego puryzmu, a czasem puryzm gniewał się na znieważony majestat języka, i wołał obcy wyraz jak swój aby tylko zgrabnie uklecony przez nieprzyjaciela.

Świtkowski pierwszy za Stanisława Augusta zaczął wydawać *Pamiętnik historyczny.* Co też się naciskał za to na niego Wyrwicz, zły że Pamiętnik zadzierał z Łuskiną t. j. z uczonemi: on nie poświęcony, nie ze stronnictwa, on nie jezuita i prawie sam uczeń. A dzisiaj *pamiętnik*, jak dobrze utarty wyraz! Stanisław Potocki znów sadził się na zastąpienie wyrazu *deklamacyi wygłośnią*, a inni przyjaciele pana ministra wyraz ten serio rozbierali i nie zgadzali się na niego. To było wyrazoróbstwo z przypadku, ze zmuszania się do roboty, a nie z potrzeby i z natchnienia. Co dzisiaj ta potrzeba i to natchnienie zrobiło z językiem naszym!

Filozoficzną terminologię mamy zupełnie nową i prześliczną, — język polski pokazał tu zdolności swoje, lepiej on wyda wszystkie odcienia uczuć i pojęć, jak np. filozoficzny z natury swojej niby język niemiecki, który trzy, cztery wyrazy zbija na kupę! Prawda, że ojciec Bronisław grzeszy aż przesadą w tworzeniu wyrazów i języka, ale kto mu zaprzeczy znajomości jego? Kto powie że wielu wyrazów szczęśliwie nie stworzył? Te wyrazy utarte już są i cóż więcej powiedzieć na ich stronę? Autor filozofii i krytyki bardzo myślący człowiek, przyjął terminologię Trentowskiego i rozwinął ją i zastósował do estetyki. Kremer ma tutaj również swoją zasługę.

W naszych czasach przed kilkoma laty Żuchowski zmieniał ter-

minologię gramatyczną i wiele dobrał szczęśliwych wyrazów. Myśmy sami protestowali przeciw jego *mowni* (wyrazowi), a *mownia, mownik* przyjmują się. A język nauk przyrodzonych i matematyczny? Matematyczny dawniejszy jest cokolwiek, dał mu początek za Stanisława Augusta ksiądz Gawroński, późniejszy biskup krakowski, ale Polacy już za Zygmuntów dzieła matematyczne drukowali. Język nauk przyrodzonych, a najwięcej chemiczny, stworzył Śniadecki i przecudownie zastosował go do natury języka. Ale to nic — nauka rośnie, rozwija się i potrzebuje tworzyć sobie nowe formy. Dzisiaj doskonały język Śniadeckiego traci na wartości, a potrzeba reformy jest tak gwałtowna, że radzą o niej całe towarzystwa uczonych w Krakowie i w Warszawie. Nie mówim już o nieszczególnej fabryce wyrazów we Lwowie; wyrazy tę nie utrzymały się, ale należą do historyi języka, w słowniku miejsce znaleść powinny, choćby jako objaśnienia, dodatek. Toż samo mówić o nieszczęśliwych próbach Radwańskiego, który język rzeczy stworzonych na sposób niemiecki ciężko urabiał (w Przeglądzie naukowym w roku 1848 i w dziele pod tytułem: Treść nauki przyrodzenia r. 1850.) Któż nie zna prześlicznej rozprawy Józefa Borkowskiego, o polskim języku łowieckim wydrukowanej w Pracach literackich w Wiedniu? Pokazuje się stamtąd, że język nasz myśliwski jest bardzo także bogaty w wyrażenia, o czem wiedzą zapewne panowie obywatele szukający rozrywki po lasach ze strzelbą w ręku, a o czem my, mieszkańcy miast, nie wiemy.

Flisowski język przed dwustu przeszło laty spisał w pięknym wierszu Klonowicz, teraz myśliwski Borkowski. Ale i sam Borkowski wyznaje że pierwszy dopiero kładzie kamień węgielny pod wielką budowę łowieckiego języka. Śliczny i dosadny jednak ten język i lubo dotąd mamy tę pierwszą i jedyną rozprawę, przekonać się jednak z niej można, co by praca na tem polu zrobiła. Niedawno Fisz w Gawędach o tem i o owem, pisanych dla Dziennika, zwrócił także na ten przedmiot uwagę. Radził nam byśmy miejsca w piśmie naszem pozwolili na myśliwskie dykteryjki i w ogólności na wszystko co pachnie łowiectwem. Odpowiedzieliśmy, bo inaczej być nie mogło, że z największą ochotą myśl przyjmujem, aby nas tylko artykułami podobnemi częstowano. Przekonani bowiem jesteśmy, że wiele zyska na takiem wydawaniu myśliwskich fraszek i sam język łowiecki. Borkowskiego cienie rozradują się. Ażeby zaś pojąć całą cenę zasługi autora tego, co pierwszy kładł kamień ten węgielny pod budowę, dodamy, że przypominamy sobie jak w jednej recenzyi Prac literackich czytaliśmy największe prawie pochwały oddawane rozprawie Borkowskiego, ze szkodą nawet artykułów innych; powiedziano tam pomiędzy innemi rzeczami, że takie rozprawy jak o języku łowieckim, więcej zbogacają Słownik jak ogromne dzieło Lindego, moc erudycyi, bez praktyczniejszego znaczenia. Recenzent miał najsprawiedliwszą słuszność po sobie.

A język górniczy! Czy pan Łabęcki autor znakomitego dzieła o górnictwie polskiem, nie więcej się zasłuży nauce i słownictwu polskiemu od wszystkich, którzy dawną metodą i systematem myśleli pisać i układać słowniki polskie? Czytelnicy wiedzą, bo taka rzecz się nie kryje długo i pisma publiczne po kilka razy już wspominały, że Łabęcki układa słownik górniczy. Jest to myśl Borkowskiego systematycznie i w całym ogromie przeprowadzona. Borkowski notował to wszystko co pamiętał, co mu w chwili kiedy pisał przypomniało się, rzucił więcej myśl jak ją obrobił, a Łabęcki myśl obrabia. Rzecz to wiadoma jak nasz język rzemieślniczy i przemysłowy zanieczyszczony jest masami wyrazów niemieckich. Miasta nasze były długo niemieckie. Niemcy dostarczali nam pierwszych potrzeb do życia, ztąd w słowniku naszym moc wyrazów niemieckich ze szkodą czystości mowy naszej; toż samo mówić o Słowniku naszym górniczym. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* Siostry miłosierdzia w znacznej bardzo liczbie udały się z Francyi na Wschód dla pielęgnowania rannych i chorych Francuzów w szpitalach. Za ich przykładem poszły i angielki. Miss Neghtingale z znaczną liczbą kobiet, chcących się poświęcić posłudze szpitalnej przybyła do Skutari do angielskich szpitali. Miss Florence Neghtingale jest najmłodszą córką bardzo bogatego i rozległe dobra w Hampshire i Derbyshire posiadającego pana Williama Shore Neghtingale. Od dzieciństwa z największą gorliwością brała udział we wszystkich instytucyach dobroczynnych, jakto są szkółki dla dzieci, szpitale, domy ochrony dla starców. Sama założyła już kilka dobroczynnych zakładów. Była ona opiekunką i opatrznością ubogich i dzieci całej okolicy, gdzie ojciec jej miał swe majętności. Zanielską dobrocią serca i energią charakteru łączy ona i wykształcenie znamienite. Prawie wszystkiemi językami europejskiemi mówi płynnie, osobliwie po włosku, francusku i niemiecku. Nawet grecki i łaciński język zna dobrze a w wyższych gałęziach matematyki jest dosyć biegłą. Już dawniej po Wschodzie odbywała podróże i była aż u wodospadów Nilu. Ten słowik (Neghtingale znaczy słowik) będzie teraz rannym Anglikom śpiewać pieśni pocieszające ojczyste.

* **Szczęśliwi królowie.** Być może iż to przysłowie w innych krajach jest prawdziwe; do Francyi zastósować go nie można. Bo jakiż tam był koniec wielu królów? Karol VI. dostał obłąkania. Karol VII. zagłodził się z obawy aby go syn nie struł. Ludwik XI. umarł w dobrowolnem więzieniu, otoczony ofiarami swojemi, ścigany wyrzutami sumienia. Karola VIII. w dwudziestym roku życia otruto. Franciszek I. umarł wskutek swej rospusty; Henryk II. wskutek rany którą mu podstępnie zadano na turniejach. Franciszka II. struła własna matka, Karola IX. również; umarł on śród największych męczarni i wyrzutów sumienia z powodu rzezi bartłomiejskiej. Henryka III. zabił zakonnik a Henryka IV. toż samo inny. Ludwika XIV. pochowano śród groźnego milczenia ludu a Ludwika XV. śród głośnych złorzeczeń. Ludwik XVI. zginął na rusztowaniu. Ludwik XVII. umarł niewiadomo gdzie, może gdzie w nędzy. Ludwik XVIII. umarł po dwudziestoletniem i po studniowem wygnaniu. A Napoleon I. Karol X. i Ludwik Filip pomarli wszyscy na wygnaniu.

Szarady przez P.

1. Pierwsze jest sylaba, a drugie i trzecie
Jest potrzebne na zimę, niepotrzebne w lecie,
Wszystko jest wynalazkiem rozumu człowieka
Do niego się człek w każdej potrzebie ucieka,
Kształci nas i oświeca, w każdej ważnej sprawie,
Równie służy potrzebie, tęsknocie, zabawie,
Na nasze zawołanie, zwiedza różne kraje
I zastąpić też może tam, gdzie nas niestaje.

2 Pierwsze z drugim dar boski
Wydrzeć nikt niemoże
Z nim uciechy i troski
Każden dzielić może,
Ale jak, na co, robi z nim użytek
Lub go wiedzie na zgubę, albo na pożytek.
Kiedy mem trzeciem do Was się odzywam
Tem samem moje wszystko zaraz dokonywam
Gdyż powstawszy z dwóch pierwszych łącząc trzeci zniemi,
Ożyłem i stanąłem ze strzelbą na ziemi.

Przyjechali od dnia 20. do 21. Listopada do Lwowa.

PP. Tymaczkowski Jan, z Przemyśla. Wysoczański Aleksander, z Jakiemowa. Bromirski Michał, z Rusina. Zaremba Bolesław, z Żurawna. Papara Henryk, z Zubowych mostów. Komarnicki Jan, z Magierowa. Dwernicki Andrzej, z Topolnicy. Turzański Józef, z Turzego.

PP. Zawadzki Karol, z Kruszelnicy. Serwatowski Wojciech, z Tarnopola. Pohorecki Kajetan, z Horpina. Medwey Franciszek, ze Stopnicy.

Wyjechali od dnia 20. do 21. listopada ze Lwowa:

PP. Laskowski Józef, do Tarnopola. Onyszkiewicz Fortunat, do Boryssowa. Biliński Feliks, do Olszanki. Krynicki Edmund, do Żółkwi. Komorowski Franciszek hr., do Łuczyc. Garapich Władysław, do Stryja.

PP. Komarnicki Bolesław, do Tarnopola. Zamojski Adam hr., do Łopatyna. Niesiołowski Michał, do Przemyśla. Sozański Sebastyjan, do Kornalowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 22 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	—	Medyolan za 300 lirów .	$127\frac{1}{2}$
Augsburg za 100 złr. .	$129\frac{5}{8}$	Paryż za 300 franków .	$151\frac{1}{2}$
Bukareszt	—	Agio dnk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$128\frac{5}{8}$	Srebra agio	29
		Pożyczka 5% $82\frac{3}{8}$ $4\frac{1}{2}$	$72\frac{1}{2}$
Genua.	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco	$95\frac{1}{2}$	Akcye banku	—
Konstantynopol	—	Kolej północna	1760
Liwurno	—	Obl. ind.	$76\frac{1}{2}$
Londyn za 1 funt szterl.,	12 37	Nowa pożyczka z loteryą	$96\frac{1}{8}$
Marsylia	—	Pożyczka narodowa . .	$86\frac{3}{4}$

Dzisiejszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 57	złr. 6	kr. 2
Dukat cesarski	« 6	» 3	» 6	« 7
Półimperyał zł. rosyjski	« 10	« 20	» 10	« 26
Rubel srebrny rosyjski	» 2	« —	« 2	» 2
Talar pruski	» 1	« 55	» 1	« 57
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 27	» 1	« 28
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	» 86	« 10	» 86	« 30

Obligacye indemnizacyjne 74. 20. do 74 złr. 45 kr.

Lwów 17. Listopada. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 25 złr. — kr. do 31 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. — kr. do 26 złr. — kr. Jeczmienia po 20 złr. — kr. do 20 złr. 45 kr. Owsa po 17 złr. 30 kr. do 19 złr. 30 kr. Grochu po 26 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 19 złr. 30 kr. do 20 złr. 15 kr. — Ziemniaków po 10 złr. — do 10 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 30 złr. Sosnowego po — złr. — kr. do 23 złr. 45 kr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 30 kr. do 2 złr. 48. kr. Centnar słomy 1 złr. 50 kr. do 2 złr. 8. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 5 Złr. 10 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**